

Jerzy Knapik

KRUK 457 wylądował

Skwar letniego południa rozleniwił. W jego ciszę wpa-
dał tylko brzęk much, czasami
dźwięk konika polnego. Na lotni-
sku panował spokój. W cieniu ma-
szyny przygotowanej do lotu me-
chanicy ucieli drzemkę.

Dochodziła godzina dwunasta,
gdy porucznika Stanisława Naw-
rockiego z n-tej jednostki polskie-
go lotnictwa zawezwano do do-
wódcy.

— Poruczniku, odwiezcie zaraz
„Sparkę” do sąsiadów. Zabierzcie
mechanika.

— Tak jest, obywatelu pułkow-
nika.

Za pół godziny podchodził już do
dwumiejscowego „Lima” popular-
nie zwanego „Sparką”. Obsługa
techniczna opuściła ochronę prze-
ciwsonieczną.

— Wszystko w porządku? — za-
pytał porucznik.

— Tak jest, jakże może być ina-
czej — uśmiechnęli się mechanicy.

W chwilę później porucznik za-
siadł już w kabinie. Za nim, na dru-
gim miejscu, dwudziestoletni mecha-
nik Józek. Pilot rozejrzył się po ze-
garach kontrolnych. Sprawdził tem-
peraturę gazów, oraz pozostałe ze-
gary, obejrzał się na mechanika,
potem nawiązał kontakt radiowy z
kierownikiem lotów.

— Tu KRUK 457 — zezwólcie
startować.

— Start, zezwalam.

Maszyna zaczęła nabierać szyb-
kości. 150, 200 km... Oderwała się
od ziemi. Coraz szybciej i szybciej
nabierała wysokości. Ale kiedy wy-
sokościomierz wskazywał 500 me-
trów, a wysokość dochodziła do 600
km, pilot poczuł nagle, że ster prze-
staje się poddawać jego woli. Zara-
zem maszyna zaczęła nurkować. Z
całej siły pociągnął drążek sterowy
do siebie, chcąc wyrównać lot ma-
szyny. Jednocześnie zameldował
macierzystej stacji:

— Tu 457. Prawdopodobnie zep-
suł mi się ster głębokości. Co ro-
bić?

— Sprawdźcie jeszcze raz i zamel-
dujcie.

Zegar wskazywał 35 metrów opa-
du na sekundę. Ster nie poddawał
się. Zdał sobie sprawę, że lada se-
kunda nastąpi zderzenie z ziemią.
Na czoło pilota wystąpił pot. Wi-
dział już tylko jedno — przybliża-
jąca się w błyskawicznym tempie
ziemia. Ale kiedy pozostało do niej
tylko 100 metrów, czy też 3 sekun-
dy, podjął już decyzję: zamiana
sterów, przewrócenie maszyny na
bok, tak, by wykorzystać teraz
umiejętności uzyskane w czasie
treningów, utworzyć ze sterów kie-
runkowych ster głębokościowy. Bły-
skawicznie dokonał potrzebnych
manipulacji.

Maszyna przewaliła się na bok.
Zawisła na chwilę tak, że zdawało
się, że lada sekunda runie na dół.
Porucznik dodał gazu. Z dyszy wy-
dobyl się ryk. „Lim” nabierając szyb-
kości zaczął piąć się w górę, zdoby-
wać wysokość 200, 300, 400 metrów.
Po paru sekundach był na 1150 me-
trach.

Teraz porucznik mógł się już ro-
zejrzeć co się stało. Po raz pierw-
szy odczuwał się do mechanika:

— Może widzisz, co tam się
dzieje?

— Zdaje się, że zaklinowało ster.

— To sprawdź!

Mechanik szybko oglądał prze-
wody. Niestety, nic nie znalazł. A
maszyna w dalszym ciągu wypra-
wiała harce. Taniec śmierci obser-
wowany z napięciem z ziemi. Już
trzy lotniska włączyły się w odbiór
radiowy.

Po 15 minutach pilot odczuł, że
nie na długo starczy mu sił w obo-
lałych od ciągienia drażka rę-
kach. Napiecie nerwowe osiągnęło
swoją kulminację. Pozosta-
wała już tylko jedna możliwość...

— Siły mnie opuszczają, tracę
spokój — meldował ziemi — będę
się katapultował.

Teraz do mechanika:

— Czy masz przypięty automat
spadochronowy.

— Tak jest — usłyszał.

— Przygotuj się do skoku... Wy-
konaj!

Czekał na wystrzał katapulty z
mechanikiem... Cisza... Co się sta-
ło? Obejrzał się. Mechanik siedział
bez ruchu z rękami założonymi za
pasy spadochronu. Patrzył gdzieś w
przestrzeń. Co, do diabła, sparaliżo-
wało go? — pomyślał porucznik.

— Skacz natychmiast — krzy-
knął — bo się cholera zabijemy!
Nie było żadnej reakcji. Jak go
jeszcze przekonywać, że musi ska-
kać. Może wyskoczyć samemu!
Uratować się... Zostawić tamtego?

Porucznik Stanisław Nawrocki
podejmuje decyzję. Nie skoczy sam
nie porzuci kolegę. Będzie próbował
lądować w warunkach całkowicie
anormalnych.

Siląc się na spokój zawiadamia

Motto: „...męczy się
mózg i dłonie, serca w
piersiach walą, bośmy
młodzi, chcemy zwy-
cięstw, chcemy żyć...”

(Hymn Lotników)

ziemię: — Tu „457” — dokonuję
próby imitacji lądowania na wyso-
kości tysiąca metrów.

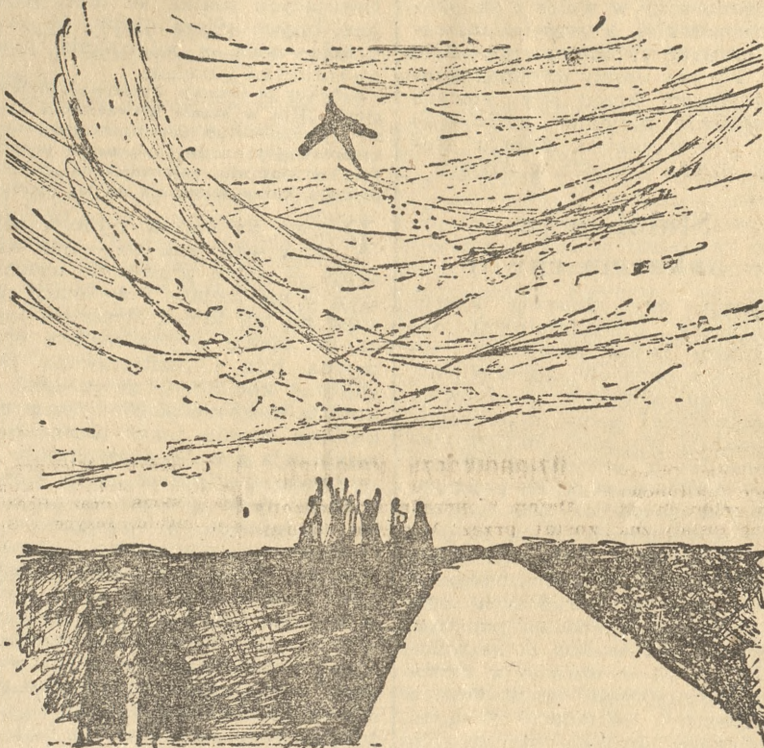
Wyprawdza poziomo samolot,
pragnąc stwierdzić czy uda mu się
go utrzymać w tym położeniu.
Resztkami sił trzyma drążek. Wy-
puścił klapy lądowania. Samolot
przechodzi ponownie w lot nurko-
wy. I znowu ogromny wysiłek dla
wyrównania...

Trzeba już wszystko postawić na
jedną kartę:

— Tu KRUK 457 — zezwólcie —
natychmiast — lądować, bez klap.

W słuchawkach rozlega się głos
kierownika lotu: zezwalam!

Dokończenie na str. 3



Ilustr. Ewa Pruska

Dyskutujemy nad ustawą o radach narodowych

Są dwie prawdy: Pierwsza:
Wiele dziedzin gospodarki
wymaga centralnego, wy-
specjalizowanego i facho-
wego kierownictwa. Wiel-
ką fabryką rządzić może
tylko ogólnopolskie, branżowe zjed-
noczenie i odpowiedni resort prze-
mysłowy. Centralnie — z punktu
widzenia potrzeb całej gospodarki
— ustalać trzeba jej zadania i plan
produkcyjny, centralnie zaopatry-
wać w maszyny, surowce i pienia-
dze, centralnie kontrolować. To
jest przemysł kluczowy.

I druga: Wielka fabryka (a cza-
sem i mniejsza) decyduje o życiu
miasta i okolicy. Daje ludziom pra-
cę i chleb, buduje mieszkarnie, pro-
wadzi szkoły i żłobki, ambulatoria
i domy kolonijne, zatrudnia pośred-
nio miejscowe warsztaty. I wpływa
— właśnie ta kluczowa fabryka —
na bieg tysięcy spraw, za które od-
powiedzialna jest rada narodowa.

Tej odpowiedzialności władz te-
renowych nadajemy coraz wyższą
rangę. Bo władza bezpośrednio
związana z terenem i ludźmi, naj-
lepiej zna jego i ich potrzeby i naj-
lepiej potrafi wykorzystać miejscowe
możliwości dla ich zaspokojenia.

Ale czy nie ma tu sprzeczności?
Kluczową fabryką rządzi (i musi
rządzić) ktoś inny, a za oddziaływa-
nie tej fabryki na życie miasta od-
powiada (i powinna odpowiadać)
rada narodowa? Nie, sprzeczności
nie będzie, jeżeli radzie narodowej
przysługiwają będą odpowiednie
prawa do koordynowania działal-

ności zakładów kluczowych, pracu-
jących na jej terenie.

Dziękujemy za „już”

Właśnie tym koordynującym
uprawnieniem poświęca wiele uwa-
gi dyskutowany obecnie projekt
nowelizacji ustawy o radach narodo-
wych.

Przed wszystkim zawiera on
uporządkowany spis tych upraw-
nień, które już wynikają z innych
szczegółowych przepisów. Dają one
radom narodowym prawo do roz-
patrywania planów gospodarczych

Mieczysław Bańkowicz

Rada i klucz

jednostek im nie podporządkowa-
nych i sprawozdań z wykonania
tych planów. Przepisy te przewi-
dują dalej współdziałanie rad przy
ustalaniu lokalizacji inwestycji, re-
alizowanych z budżetu centralnego
i określają obowiązki fabryk kluc-
zowych w dziedzinie inwestycji
komunalnych, budownictwa mieszkaniowego itp. Radom przysługuje
również prawo występowania z
wnioskami w sprawie przekazywa-
nia przez zakłady przemysłu kluc-
zowego między sobą zbędnych su-
rowców, materiałów, maszyn i
objektów.

To w zasadzie wszystko. I chy-
ba... niewiele.

Prosimy o „jeszcze”

Nowy projekt przewiduje znacz-
ne rozszerzenie tych, jak powiedzie-
liśmy, koordynacyjnych uprawnień
rad.

Rady narodowe mają w przy-
szłości uczestniczyć w opracowy-
waniu i rozpatrywaniu komplekso-
wych planów kluczowych inwesty-

Krzysztof Monikowski

obywatele

Trzynastowieczni urbani-
ści nie mieli tym razem
szczęśliwej ręki: rynek
usytuowano na pochy-
łości, tak, że przy la-
deszczu, połowa tonięła
w błocie. Mijały wieki i generacje;
jedne miasta upadały, inne znów —
choć o wiele młodsze, rosły w mie-
szkańców i znaczenie. Zduny pozos-
tawiały raczej na uboczu wielkich
przemian, omijane przez doniosłe
wydarzenia i znacznych ludzi. Kie-
dyś rozwijało się tutaj tkactwo, ale
i to minęło; pozostało małe miasto, o-
spałe miasteczko, ot, 3 tysiące mie-
szkańców, i rynek po dawnemu po-
kryty kocim łbem
brukowany, jak
piekło dobrymi
chęciami.

Chodził jednak
po tym po-
chyłym rynku nie
spokojny duch: a
co, radia nie chce
libyście posłuchać,
Matysiaków dla
przykładu? A Fer-
nandela we wias-
nym kinie obej-
rzeć, albo na ekr-
anie telewizora, ha?
I w ogóle — co to
za pomysł, spłutni-
ki w Kosmosie latają, a my bez elek-
tryczności, jak w średniowieczu, z
kurami spać chodzimy lub rozbija-
my nosy o gazowe latarnie, wstyd.
Zabierzmy się, obywatele, do robo-
ty, dosyć tego czekania.

Jacy z nas obywatele? — dziwił
się niekiedy. Obywatel przed woj-
ną, wiadomo: to ten, co miał pose-
sję, dom. Dziś posesjonaci na psy
zeszli, dachy im przeciekają, tynki
się łuszczą — coraz niżej, zwykła
kolejność rzeczy w Zdunach. Innym
się po prostu nie chciało. Byli jed-
nak i tacy, którym mdła, wyczeku-
jąca vegetacja dała się już mocno
we znaki. Wreszcie poszła przez
Zduny wieść: utworzono komitet e-
lektryfikacyjny, widać, coś z tego
będzie. W komitecie — ludzie wszy-
stkim znani, a między nimi Franci-
szek Rogalka, właśnie ów, niespo-
kójny duch miasteczka. Ten i tam-
ten załamał się: ile trzeba? Okazało
się, że wypada niewiele po 75 zł na
godzinę gotówką i trochę czasu po
południu, tyle, żeby wkopać słupy.

Kiedy już zwieziono te słupy i zło-
żono je w takim miejscu — by
wszyscy zobaczyli, miasteczko zbu-
dziło się na dobre. 743 rodziny wpla-

cili po 75 złotych, a ich ojcowie za-
kasali rękawy. Wśród docinków i
żartów, zaczęli kopać. I tak „jakoś”
poszło.

„Przedsiębiorstwo — mówi prze-
wodniczący Prezydium MRN, Wła-
dysław Faferko — wyceniło robotę
na około 240 tysięcy. A tak dzięki
pomocy społeczeństwa, te siedem i
pół kilometra sieci kosztowało w go-
tówce tylko 89 tysięcy...”

Nie, nie ma sensu obliczać, ile
Zduny, dzięki temu zaoszczędziły.
Nie miały z czego oszczędzać, prze-
cież nie dysponowały taką kwotą.
Zysk był o wiele większy — zaufa-
nie we własne siły. A i procenty
nie dały na siebie
długo czekać; po-
wstało nie tylko
kino, lecz także —
co ważniejsze —
Zakłady Przemys-
łu Terenowego,
gdzie setka miej-
scowych, prze-
ważnie kobiet, zna-
lazła stałą pracę.

„I co jeszcze?” —
pytam przewodni-
czącego: „Ano, lu-
dziska zakupili tro-
chę radioapara-
tów i telewizo-
rów”. „Ile?” Wła-
dysław Faferko szuka w biurku. „Czy
może być stan z grudnia ubiegłego
roku? Bo świeższe dane musiałbym
dopiero zebrać...” Niech będzie gru-
dniowy. Trochę? 628 radioaparatów,
56 telewizorów, do tego 142 głośniki
radiowęzła. Podliczam: 826.

A 743 rodziny założyły światło.
Matysiaków można więc było
słuchać i Fernandela oglądać,
ale w dalszym ciągu zduniancy na
latarnie gazowe psociły, które
muzom a sobie jedynie świeciły, na
tyle tylko, by człek na nie wieczor-
em nie wlażył. Toteż po jakimś
czasie Rogalka po raz drugi ruszył
do boju. Tym razem poszło łatwiej,
ludzie przekonali się, że współ-
nie można coś zrobić dla wspólne-
go pożytku, nabrali zaufania we
własne siły. Zawieszono komitet.

Miasto dało z budżetu tyle, ile mo-
gło: 95 tysięcy zł, zakłady pracy do-
łożyły około 10 tysięcy. A szerego-
wi mieszkańcy Zdun? Mimo, że
każdemu przeciw niełatwo, uzbie-
rali... ile? „Chwileczkę — mówi Fa-
ferko — podam dokładnie. Tak, tu
mam: 12968 złotych.” Zebrali, po-
mogli.

Tak więc i wysłużone gazowe sta

Dokończenie na str. 2

gospodarze terenu ponoszą bezpo-
średnią odpowiedzialność przed lud-
nością. Ale co oznacza użyte w
treści przepisu słowo: czuwać?

Można je rozumieć jako prawo
rad do nadzorowania działalności
zakładów kluczowych w określo-
nym zakresie. Byłoby to prawo
wydawania zezwoleń i zakazów,
prawo ingerowania w tę działal-
ność w sposób dla zakładu przemy-
słowego wiążący. Wykonując nad-
zór rada narodowa byłaby równo-
rzednym partnerem władzy zwierz-
chniej zakładu przemysłowego.

Ale słowo czuwać można rozu-
mieć również tylko jako uprawnie-
nie do kontroli. Rada mogłaby
więc co najwyżej badać ex post
działalność fabryki, w zakresie o
którym mówimy i stawiać wnioski,
na realizację których nie miałaby
rzeczywistego wpływu.

Czuwanie oznaczać więc może
bardzo wiele i bardzo mało, może
być w rękach rad orężem albo
straszką (którego rzeczywista
wartość będzie zresztą partnerom
dobrze znana).

Chodzi więc o to, by nowa usta-
wa zagwarantowała radom narodo-
wym uprawnienia do koordynowa-
nia działalności zakładów kluczo-
wych z potrzebami gospodarki te-
renowej w sposób maksymalnie sze-
roki i równocześnie nie kolidujący
z wymogami centralnego kierow-
nictwa. Chodzi o to, by nowe prze-
pisy jednoznacznie określały prak-
tyczną treść tych uprawnień.

W projekcie mówi się zbyt często
o „czuwaniu”, „uczestniczeniu”,
„współdziałaniu”. W przyszłości
wszystkie niedomówienia i niejas-
ności obracać się będą przeciw ra-
dom narodowym, bo to one są i bę-
dą jeszcze długo stroną praktycz-
nie słabszą w zestawianiu nie tylko
z władzami centralnymi, ale i z ko-
losami przemysłu kluczowego.

Ustawa jest potrzebna — powin-
na być jasna i precyzyjna.

Feliks B'los

Trudne narodziny wolnej Algierii

Napiwające od szeregu dni wieści z Algierii napawają wszystkich przyjaciół tego umęczonego kraju niepokojem i smutkiem. Jakże to możliwe — słyhać zewsząd pytania — że naród, którego jedność w walce z francuskimi kolonizatorami zdumiewała świat, który z najwyższym bohaterstwem zniósł całe piekło wojny wyzwoleniczej, pacyfikacji, więzień i obozów, już w zaraniu wolności stanął na skraj przepaści walk bratobójczych?

Niełatwo jest odpowiedzieć na to pytanie. Korzeni obecnego kryzysu szukać należy jeszcze w okresie wojny narodowo-wyzwoleniczej. Cały naród algierski zjednoczony był wówczas pod sztandarami Algierskiego Frontu Wyzwolenia Narodowego, którego kierowniczym organem był Tymczasowy Rząd Republiki Algierskiej. Ta najszerzej pojęta organizacja narodu składała się z różnych grup klasowych, połączonych tylko patriotyczną wizją wspólnej walki z wrogiem. Gdy ta dobiegła do zwycięskiego końca, stało się zagadnienie społeczno-politycznego oblicza i kierunku rozwojowego niepodległej Algierii.

Nazajutrz po Evian

Niemal nazajutrz po Evian, dali o sobie znać pierwsze tarcia między wojskowymi i cywilnymi przywódcami rewolucji. Były one wywołane skomplikowanymi warunkami, w jakich działały siły rewolucji algierskiej.

Algieria podzielona była na 6 okręgów partyzanckich tzw. wilaiatów, z całą hierarchią wojskowych i cywilnych przywódców. Wielkie przestrzenie i kontrasty geograficzne — demograficzne sprzyjały, że były to samodzielne jednostki administracyjno-polityczne, a ich przywódcy sprawowali na poszczególnych terytoriach pełnię władzy.

Poza siłami zbrojnymi dowodzonymi przez szefów poszczególnych wilaiatów, istniała armia stacjonująca w Tunezji i Maroku. Rzecz jasna nie brała ona bezpośredniego udziału w toczonych z Francuzami bojach. Również za granicą działał rząd tymczasowy z całym sztabem wyższych i niższych urzędników administracji.

Pewna grupa przywódców spędziła okres wojny wyzwoleniczej we francuskich więzieniach i obozach. Grupa ta, jak wiadomo, reprezentuje Ben Bella.

Tak zróżnicowane żywioły walki wyzwoleniczej spotkały się ze sobą na ojczystej ziemi nazajutrz po zwycięstwie. Jest rzeczą oczywistą, że wśród tych ludzi, których tak odmiennie kształtowały warunki, musiało dojść do różnicy zdań i poglądów w sprawach dotyczących

zarówno podziału stanowisk jak i koncepcji ustrojowo-politycznych wyzwolonego kraju.

Mozaika władzy

Pierwszy kryzys polityczny wywołany protestem Ben Bella wobec dymisji szefa sztabu Armii Wyzwolenia Narodowego trwał blisko miesiąc i zakończony został reorganizacją władzy.

W wyniku uzyskanego kompromisu utworzone zostało pod przewodnictwem Ben Bella, Biuro Polityczne Frontu Wyzwolenia Narodowego. Przejęło ono niemal wszystkie kompetencje Tymczasowego Rządu Republiki Algierskiej, jednakże rząd ten nie został rozwiązany. To właśnie ten rząd z Ben Kheddą na czele, pozostaje w dalszym ciągu sygnatariuszem uznania niepodległej Algierii przez z górą 30 państw. Jednak polityką zagraniczną kraju kieruje Biuro Polityczne. Istnieje poza tym nadal utworzona na mocy układów ewianckich Tymczasowa Władza Wykonawcza z Faresem na czele, która spełnia niektóre funkcje administracyjne i z którą kontaktują się oficjalnie rząd i armia francuska. Już ta mozaika struktury władzy świadczy wymownie o trudnościach politycznych wyzwolonej Algierii.

Podczas, gdy cywili przywódcy rewolucji prowadzili długie przetargi w dążeniu do jedności, jedyną zorganizowaną siłą była Armia Wyzwolenia Narodowego z jej strukturą wilaiatów. Poza kilkoma większymi miastami, wojsko spełniało wszędzie zadania policji i administracji. Stąd też przed nową władzą cywilną stała się cała ostryżka kwestia likwidacji „wilaiatu”, tym bardziej, że tu i ówdzie zaczęły ujawniać się różne grupy z nadmiernymi zapędami do przejmowania i utrzymania pełni władzy. Pojawili się też nawiązujący szabrownicy, buszujący po opustoszałych mieszkaniach i hotelach. Niektórzy lokalni dyktatorzy zarządzali bezprawne rekwizycje na potrzeby swych jednostek lub nawet na swoje własne.

Sytuacja nakazywała jednak postępować z najwyższym taktem, bez nadmiernych zapędów likwidatorskich. Chodziło przecież o armię bohaterów na wielką miarę, która o głodzie i bez nowoczesnego uzbrojenia stawiała przez 7 lat czoła potężnym siłom kolonizatorów. Wydaje się, że postulat ten zrozumiał należał Ben Bella, zabiegając usilnie o poparcie przywódców wojskowych dla swych koncepcji politycznych.

Rebelia wilai 4

Nieprzejednanym przeciwnikiem wszelkiej cywilnej władzy centralnej pozostał sztab wilai IV z siedzibą w Algierze, na której terenie rozpoczęły się aresztowania zwolenników Biura Politycznego, rewizje i inne przejawy nadeżdżycia władzy. W tych warunkach generalna próba sił była nieunikniona. Na skutek otwartej rebelii oficerów

rejonu algierskiego Biuro Polityczne postanowiło przesunąć jeszcze raz, odraczając już parokrotnie, termin wyborów z 2 września do chwili, gdy powstaną warunki rzeczywistego pokoju (według układów z Evian miały się one odbyć w 3 tygodnie po referendum tzn. 21 lipca).

Jest rzeczą oczywistą, że rebelia wilai IV nie mogła być postrawiona bez odpowiedzi. Biuro Polityczne zmuszone było uciec się do siły wiernych mu wojsk. Nastąpiły ruchy armii zmierzające do odtoczenia, a w razie konieczności, znieszenia zbuntowanych jednostek. Tu i ówdzie doszło do potyczek, połała się bratnia krew. Jednakże poczucie patriotyzmu zatriumfowało nad osobistymi ambicjami. Ostatnie doniesienia o zawarciu rozejmu między Biurem Politycznym, a przywódcami wilai IV, cały naród algierski przyjął z olbrzymim entuzjazmem.

Określenie: męki rodzenia się nowego — nasuwa się tu z całą siłą. Trzeba jednak powiedzieć, że nawet rozdziewki, nawet starcia z bronią w rękę, są — przy całej anormalności sytuacji w Algierii — zjawiskiem niemal powszechnym. Przypomnijmy, że naród polski również był zjednoczony w walce z okupantem niemieckim, a przecież utrwalenie władzy ludowej nie było łatwe. I u nas doszły do głosu wrogie interesom kraju siły, których rozgromienie niejedno kosztowało życie. To w jakimś stopniu tłumaczy obecną sytuację w Algierii.

Stabilizacja — nakazem chwili

Obecnie, gdy złowrogie kryzysy grożące nieobliczalnymi następstwami zostały zażegnane, żyć należy narodowi algierskiemu, by w jego ojczyźnie zapanowała jak najszybciej pełna stabilizacja, by powstały warunki umożliwiającej konsolidację wszystkich sił narodowych dla rozwiązania palących problemów gospodarczych, społecznych i oświatowych. A są to problemy niełatwe. Masy chłopskie czekają na reformę rolną, zdecydowanych kroków zaradczych wymaga sytuacja finansowa państwa, konieczna jest walka z bezrobociem, które silnie wzrosło w wyniku dewastacyjnych akcji OAS i europejskich kolonów. Zdobyta niepodległość wymaga stałego jej umacniania. Na braku jedności i stabilizacji mogą skorzystać jedynie wrogowie wolnej od kolonialnych pęt Algierii.

Miroslaw Sanigórski

Los rodziny pijaków

Prolog: „Wysłałem za mąż 11 lat temu. Mój mąż jest nałogowym pijakiem i potwornym mężem i ojcem. Jesteśmy gołi i bosi, głodni chorzy. Mam troje dzieci, są bardzo biedne, chodzą jak żebracy. Dziewczynka najstarsza ma 10 lat. Nie może się uczyć i uczy się bardzo źle. Ma silną nerwicę serca i nerwicę ogólną, teraz jest bardzo chora, nawet w szkole mdleje. Przecież dziecko co dzień widzi ojca pijanego jak zwierzę i jak rzucał się do bicia mnie. Dziecko łapało go wpół i krzychało: Tatusiu! Nie bij mojej mamusi! a wtedy i sama była wyrzucana na dwór jak pies i w nocy stała na dworze, ja byłam zbita i leżałam nieprzytomna. Tak już jest 11 lat”. (Z listu czytelniczki).

Jeden z epilogów: Miejski Społeczny Komitet Przeciwalkoholowy w Łodzi przeprowadził badania na temat: „Wypielanie obowiązków szkolnego przez dzieci alkoholików”. Badaniami objęto 200 dzieci w wieku 7 i 16 lat. W czasie picia ojców 88 proc. dzieci przeżywa awantury we dnie, 86 proc. w nocy. 50 proc. dzieci ma ojców maltretujących matki, 40 proc. dzieci jest bitych przez ojców, 50 proc. ucieka nocą z mieszkania przed awanturami i biciem.

Artykuł 10 Ustawy Przeciwalkoholowej głosi: „Kto w stanie nietrzeźwym znęca się fizycznie lub moralnie nad członkiem swojej rodziny lub osobą pozostającą w stosunku zależności od sprawcy, podlega karze więzienia do lat pięciu”.

Prawo na mężów i ojców pijaków więc jest, ale — jak wiadomo — samo prawo nie automatycznie nie działa. Przy okazji rozmów na ten temat, słyszałem takie m. in. zdanie wypowiedziane przez pewną bitą i maltretowaną psychicznie kobietę: „Tak już jest, że kobieta musi cierpieć”. Była w tym krótkim zdaniu jakaś przerażająca rezygnacja z walki i pogodzenie się ze swoim tragicznym losem. Coś w rodzaju: racja jest zawsze po stronie silniejszego. W szczególności to fatalistyczne stanowisko „obowiązuje” w Polsce powiatowo-gromadzkiej. Znajduje m. in. swój wyraz w analizie spraw z tytułu naruszenia art. 10 Ustawy Przeciwalkoholowej, przeprowadzonej w kilku sądach powiatowych przez Ministerstwo Sprawiedliwości. Otóż najczęściej powództwo o bicie żon i członków rodziny wychodzi ze strony... milicji, albo szkół, natomiast do wyjątków należą sprawy kierowane przez rady narodowe, a do zupełnej

rzadkości — przez osoby bezpośrednio pokrzywdzone. Maltretowane, bite, zastraszone matki, żony nie mają bowiem pewności, czy zgłoszona przez nie skarga do prokuratora nie pogorszy i tak już tragicznej ich sytuacji życiowej.

(Z prasy: „wstrząsająca tragedia miała miejsce w miejscowości Lunów pow. Wołin woj. szczeciński. 35-letni Zygmunt P. po otrzymaniu skazującego go na 6 miesięcy więzienia wyroku za znęcanie się nad żoną, usiłował w nocy zabić kobietę, zadając jej ciosy młotkiem. Krzyk mordowanej usłysze li sąsiedzi, którzy wyrwali ofiarę z rąk sadyści, a jego samego przekazali MO. Zmasakrowana kobieta walczy ze śmiercią w szpitalu”).

Tragedia za czterema ścianami

A więc sytuacja bez wyjścia? Absolutnie nie. Jest wyjście, nawet kilka wyjść. Poprawa losu żon pijaków zależy przede wszystkim od nas samych, żyjących w zgodzie i w spokoju, za cenę niepokoju i łez innych. Bicie i maltretowane kobiety naprawdę nie muszą cierpieć. I nie będą cierpieć, jeżeli my, postronni, w swoich sumieniach nie będziemy zdania, że to, co dzieje się w czterech ścianach mieszkania, jest osobistą sprawą lokatorów tych mieszkań. Istnieje przepis, który stanowi nie tylko podstawę prawną, ale nawet nakłada na każdego z nas obowiązek powiadomienia o wypadkach wymagających sądowej ingerencji. Jest to artykuł 5 Ustawy o Postępowaniu Niespornym, który tak mówi:

„Każdy, komu znane są zdarzenia będące podstawą do wszczęcia postępowania przed władzą opiekuńczą, ma obowiązek zawiadomić o nich władzę opiekuńczą w ciągu dwóch tygodni od dnia powzięcia wiadomości o zdarzeniu”.

Gdybyśmy korzystali z tej ustawy, z tego artykułu, o ile mniej byłoby wokół nas tragedii! Szukajmy innych możliwości przeciwstawienia się mężom i ojcom-pijakom. Dojrzał do wprowadzenia w życie taki wniosek: należy zorganizować przy Polskim Komitecie Opieki Społecznej komórkę prawną (na wzór już istniejącej do spraw alimentacji), która wyreczałaby stronę pokrzywdzoną w sygnalizowaniu sprawy odpowiednim władzom. Tym prostym sposobem dałoby się niewątpliwie uniknąć sytuacji, w których żona zmuszona jest osobiście składać skargę na swego męża, co staje się w przeważającej większości wypadków źródłem dalszych, tragiczniejszych nieraz konfliktów.

Kończąc, twierdzę z całym przekonaniem: tragedia za czterema ścianami może nie być. Zależy to od nas wszystkich!

Obywatele

Dokończenie ze str. 1

ruszki zdjęto z urzędu i zainstalowano na ulicach 65 lamp elektrycznych. Tylko rynek pozostał, jaki był: pochylony, zabłocony, wyboisty.

Nie na długo jednak. Bo kiedy było już to elektryczne oświetlenie, kiął w oczy nie tylko we dnie. A tu siedemsetletnie miasta zbliża się szybkimi krokami... I znów niezmordowany Rogalka, znów długie rodaków rozmowy w prezydium, w partii. To przecież poważna inwestycja. Obliczano, zastanawiano się tak i siak. Ale tym razem można było pomóc społeczeństwu wliczyć do tych rachunków jakąś pewniaka.

Zalogi miejscowych zakładów pracy podjęły zobowiązanie przepracowania po 8 godzin przy przebudowie rynku — brzyduli. Ruszyły komitety blokowe, instytucje na ogół, jak wiadomo, śpiące. Zduny po raz trzeci zabrali się do roboty.

W ubiegłym roku wywieziono 955 ton kamienia, samego piasku przywieziono 1784 tony. To była mniej więcej połowa tego, co zaplanowano, resztę zrobiono na wiosnę i latem. Poruszyło się dosłownie całe miasto, ludzie codziennie przychodzili z łopatami, kilofami, ogólny zapal uderzył się nawet szkolnej wycieczce z województwa wrocławskiego. Wszystko, co nie wymagało reki fachowca, zrobili zduniacy sami.

I znowu wam powiem — mówi Eferko — że gdyby zdać się na

firmę, niżej 2 milionów nie byłoby o czym mówić. A tak będziemy mieć rynek jak lalkę za niespełna milion złotych”.

Kiedy przyjechałem do Zdun, wielkie przedsiębiorstwa dobiegało końca. Nowe chodniki, porządne przejazdy, należyte odpływy. Akurat przygotowywano miejsce pod zieleniec. Rogalkę, oczywiście, znalazłem na rynku.

Kto to jest? — spytacie. „Pilnuje robót każdego dnia — rekomenduje przewodniczący. — Jak trzeba jechać, jedzie. Nie, nie jest u nas na etacie, zwyczajnie, pracuje w tutejszej szkole zawodowej.” „Lubię społeczną robotę” — mówi o sobie Rogalka. — A tu wszystkich znam, bo mieszkam w Zdunach od 1929 roku.”

To wszystko. Niewiele, prawda?

W przeddzień 22 lipca, jak w każdym miasteczku, odbyła się w Zdunach okolicznościowa akademia. Również i tu wygłoszono przemówienie, rozpoczęte tradycyjnym zwrotem: obywateli! Tylko, że w Zdunach słowo to było czymś więcej, niż okolicznościową formułą. To tak mimochodem, pod adresem innych miast i miasteczek, gdzie niektórzy na słowo „obywatele” krzywią się i mówią: obywatele, panie, to byli przed wojną...

Krzysztof Monikowski

PS. Na huszające się tynki też przyjdzie kolej. Już w przyszłym roku. Co za ludzie, poszulieli w tych Zdunach, czy co?

Zaczniemy od dykteryjki. Mam znajomego, który uwielbia pieczone kuropatwy, corocznie w sezonie kuropatwim zjada mnóstwo tych ptaków. Kiedyś

znajomy wyczytał w prasie lotwieckiej informację o wynikach radiologicznych badań nad wpływem stosowania chemicznych środków owadobójczych na życie takich ptaków jak kuropatwa i bażant. No i dowiedział się, że w organizmach tych ptaków, o ile żerują one stale na terenach intensywnie opylanych środkami chemicznymi, odkładają się pewne ilości trucizny, która może w nie których wypadkach okazać się szkodliwa dla zdrowia drapieżników pożerających kuropatwy, np. jastrzębi. Na tę wieść znajomy wpadł w istną panikę. Doremnie tłumaczył mu, że ażeby odczuć skutki, których tak się obawia, musiałby zjadać kilkadziesiąt kuropatw tygodniowo i to w stanie surowym. Mój smakosz kręci głową i powiada, że koniec z kuropatwami przysmakami. Trudno — myślę sobie i zmieniam temat, wspominam o sztucznych satelitach, które uszkodził amerykański wybuch nuklearny w kosmosie, dokonany 9 lipca br. A on na to, że to nic nie szkodzi, bo to były ich satelity, angielskie i amerykańskie. Krótko i rzeczowo — można powiedzieć — niezdolność wyjścia myślenia poza zasięg własnego nosa. Kuropatwa, która powąchała azotówkę może mi zaskoczyć, wybuch jądrowy w kosmosie już mnie nie dotyczy — oto styl myślenia.

Nie zrażony ciągnę dyskusję aż do pasa radiacji powstałego po tymże amerykańskim wybuchu,

Bogusław Kogut

Azot i satelity

który to pas, być może, uniemożliwi penetrację przez człowieka dalszych rejonów kosmosu na lat kilka. Tu mój kuropatwiarz uchwycił sedno, wyraził pogląd, że skoro Amerykanie nie mogą dotrzeć kroku Rosjanom w wysłaniu kosmonautów, to zasmiecają atmosferę radiacją. I jeszcze komentarz: „To jest cholerna świnia”.

Nie uśmiechajcie się lekceważąco — w tym prostodusznym rozumowaniu jest jakiś ład słuszności.

Jeden z naukowców brytyjskich komentując uszkodzenie satelitów stwierdził z goryczą: „Mówiłem, że tak będzie. Jedynie szczęście w nieszczęściu to to, że uszkodzono własne satelity a nie radzieckie”. Nie sugeruję, że horzonty myślowe brytyjskiego naukowca są równe horzontom mojego amatora kuropatwiej pieczeni. Ale doprawdy nie wielka to pociecha, że uszkodzono tylko anglosaskie sputniki. Jutro, pojutrze — o ile mania bombardowania kosmosu będzie szczyt się nadal — może być znacznie gorzej. Kto wówczas zdejmie z niefortunnnych eksperymentatorów tę ogromną odpowiedzialność nie mieszczącą się w tradycyjnych pojęciach etycznych?

Niby mała różnica. My mówimy: Kosmos jest nieczysty, to znaczy międzynarodowy, ogólnoludzki i jako taki musi służyć jedynie celom pokojowym. Oni mówią: kosmos jest nieczysty, to znaczy, że możemy robić w nim co nam się podoba — i tak nie naruszamy cudzych praw własnościowych ani też cudzej suwerenności. Kto ma rację?

Wiek atomowy przeobraża nie tylko strukturę gospodarczą i krajobraz świata, w tym wieku pojawiają się także pojęcia i wartości, które nie dadzą się przywiązać do ścian jednego kramu, granic jednego państwa czy nawet politycznego bloku. Kosmos jest nieczysty nie jako kolonia do podbicia i wyeksploatowania, kosmos jest nieczysty, jako przestrzeń, która w przyszłości będzie służyć całej ludzkości, a nie poszczególnym jednostkom czy grupom ludzkim dobranym na jakiejkolwiek zasadzie, w imię byznesu czy innej podobnie „uniwersalnej” idei. Bombardowanie nuklearne kosmosu jest — owszem — równoznaczne z naruszeniem cudzej suwerenności. Z tym, że suwerenem jest tutaj cała ludzkość. Ta prawda nie została jeszcze dokładnie utrwalona w kodeksach, ale zakorzeniona się w świadomości wielu obywateli świata. Nawet smakosze lekający się azotem w mięsie kuropatwy zaczynają ją rozumieć. Może więc zrozumieją ją i ci, którzy dotąd spozierali na kosmos jak na niespodziewany spadek po wuju Samie?

nad i

Wielkie porządki

O d kilku tygodni stanowisko kierownika Wydziału Kultury Prezydium WRN w Poznaniu piastuje Tadeusz Peksa. Sądzi, że wielu naszych czytelników interesują koncepcje upowszechniania kultury, bowiem w tej dziedzinie trwają stale poszukiwania nowych form i metod. Niewątpliwie nowe kierownictwo Wydziału ma swoje poglądy na te sprawy, ma też plany działania na bliższą i dalszą przyszłość. Zwróciliśmy się przeto do kierownika T. Peksa po informacje na te tematy.

— Zaczęło od zasadniczej sprawy — powiedział kierownik — potrzeby generalnego uporządkowania spraw kompetencyjnych placówek podległych Wydziałowi. Utało się, że jeśli domy kultury czy świetlicy pracują dobrze, jest to zasługą wydziałów kultury. Tak nie może być, przecież choćby ze względu na bardzo szczerą obsadę wydziałów nie są w stanie zajmować się podstawową działalnością kulturalno-oświatową, zresztą i ustawa o radach narodowych inaczej określa funkcję wydziałów. Ich główną rolę jest koordynacja pracy, wysuwanie inicjatyw, kontrola działalności i popieranie jej dostępnymi środkami, na przykład finansowymi. Natomiast pełną odpowiedzialność za pracę placówek kulturalnych winny ponieść Wojewódzki Dom Kultury, Wojewódzka Biblioteka, związki zawodowe wszystkich pionów.

— Wydaje się, że sprawę skomplikowało jeszcze połączenie powiatowych wydziałów kultury z inspektoratami oświaty, prawda?

— Połączenie to absorbowало wielu ludzi i zahamowało normalną pracę resortu kultury w ciągu tego roku. Ale traktujemy to połączenie jako ostateczne i uważamy, że wspólnie z Kuratorium musimy podjąć teraz duży wysiłek, aby ta reorganizacja nie odbiła się ujemnie na całokształcie pracy.

— Czy już rozpoczęto prace nad porządkowaniem kompetencji?

— Dokonałmy zasadniczej zmiany struktury organizacyjnej WDK mając na uwadze Pałac Kultury, który rozpoczął działalność od 1 IX. Wchłoniął on WDK i Ośrodek Instrukcyjno-Metodyczny. Tak więc Ośrodkowi powierzono nadzór nad powiatowymi domami kultury i uczyniono go odpowiedzialnym za ich pracę. Nadzór dotyczy głównie programu, treści, form, metod i sposobów pracy tych domów, a także doboru kadry kierowniczej i pozostałych pracowników pełnozatrudnionych.

— A w szczególności, na czym polegać będzie nadzór?

KRUK 457 wylądował

Dokończenie ze str. 1

Jedna myśl draży aż do bólu mózgu: utrzymać kąt lądowania. Nie dopuścić, by „nos” znalazł się pod linią horyzontu. Błyskawicznie zbliża się miotająca horyzontem ziemia. Pas startowy. Porucznik ciągnie drążek zapierając się nogami. Zda się, że go wyrwie. Jest ziemia! Uderzenie przednim kółkiem, mały mały „kangurek”, jeden, drugi, a potem uspokojony „Lim” sunie po pasie startowym. Na spotkanie biegnie cała obsługa lotniska. Wszyscy oni jeszcze przed kilkoma sekundami przeżywali wspólnie dramat porucznika. Teraz, śmieją się nerwowo i jak najszybciej chcą uściskać dłonie. Samolot podkołował do miejsca postoju. Skończyło się 18 minut walki ze śmiercią. Walki o życie swoje, przyjaciela - mechanika i samolotu.

Porucznik wyszedł z kabiny. Zdjął hełmofon. Po pobladłej twarzy ciekła struga potu. Ocierając ją podchodzi do stojącego już na boku mechanika.

— No, jesteśmy na miejscu! Koniec podróży — stary cześć!!

I znowu jest piękny, sierpniowy dzień. Taki sam, jak tamten, w którym lotnisko — zdawałoby się w stereotypowy sposób meldowało „KRUK 457 wylądował”. Ale teraz na lotnisku panuje świąteczny nastrój: dowódca jednostki w imieniu Rady Państwa przypina do munduru porucznika Stanisława Nawrockiego — pilota odrzutowego — Złoty Krzyż Zasługi i wręcza mu lotniczy kordzik.

Najbardziej skromną osobą jest tego dnia sam bohater. Twierdzi, że każdy z jego kolegów postąpiłby tak samo.

Jerzy Knapik

— Przynajmniej raz w roku przewidujemy dokonanie frontalnej wizytacji każdego PDK-u w połączeniu z szeroko pojętym instruktażem, co potrwa na pewno kilka dni. Osobną sprawą jest wizytacja wycoinkowa i hospitacja zajęć prowadzonych przez poszczególne działy i sekcje PDK-ów, którą rzecz jasna zajmie się również Ośrodek Metodyczny. To jest ogromna praca, ale też Ośrodek otrzyma do jej wykonania — dwadzieścia pięć etatów instruktorskich. WDK podejmie znacznie większą niż dotąd działalność w zakresie wydawania materiałów repertuarowych. Już w tej chwili opracowuje się materiały uzyskane w drodze konkursu dla teatrów poezji zakończonego w kwiet-

Rozmowa z kierownikiem Wydziału Kultury Prezydium WRN Tadeuszem Peksa

niu, br. Ośrodek poprowadzi szkolenie dla kadr specjalistycznych jak choreografów i instruktorów zespołów teatralnych i będzie nadzorował szkolenia prowadzone w PDK-ach.

— Jaka przeto będzie rola Wydziału w tych konkretnych poczynaniach?

— Wydział zajmie się zapewnieniem domom kultury takich warunków, by swe zadania mogły spełnić. Przede wszystkim zwiększy się, i to przeszło dwukrotnie, dotacja dla WDK czyli — obecnie — Pałacu Kultury. Podobnie średnia dotacja dla PDK-ów wzrośnie w 1963 roku bez mała dwukrotnie, co pozwoli zorganizować i prowadzić po radnie instrukcyjno-metodyczne w każdym domu kultury.

— Jakie nowe formy pracy będą towarzyszyć tym posunięciom organizacyjnym?

— Przez dłuższy czas naszym oczkiem w głowie będzie praca kulturalno-oświatowa na wsi. Chodzi nam o wielką intensyfikację tej pracy, o zespolenie wszystkich działających na wsi placówek jak bibliotek, świetlic i kin i takich organizacji prowadzących doraźną i wycoinkową działalność jak TWP, TPPR, Stowarzyszenie Ateistów i Wolnomyślicieli i inne. Generalnie odstępujemy od pojęcia „świetlica”. Zastępujemy je nazwą „Wiejski Ośrodek Kulturalno-Oświatowy”, a w drobnych placówkach odpowiednią nazwą będą „klubokawiarnie”. W eksperymencie podejmowanym w Szamotulskim zespolone zostaną środki i nakłady na kulturę PGR-ów, spółdzielni produkcyjnych, GS-ów, rad narodowych i dochoły własne takie centralnego ośrodka, który zostanie wyposażony w niezbędny sprzęt jak radio, telewizor, pro-

jektor filmowy, magnetofon, bibliotekę repertuarową, prasę. Ośrodek taki zapewni sobie wpływ na pracę wszystkich placówek K-O na terenie gromady. Inicjatywę Szamotuł podejmują już powiaty Chodzież i Gostyń. Nowe formy pracy wchodzi w życie we wrześniu na inaugurację roku kulturalno-oświatowego, przy czym centralna, ogólnokrajowa uroczystość odbędzie się 22 września właśnie w Szamotulach z udziałem Ministra Kultury i Sztuki.

— Czy poszczególne rodzaje placówek kulturalnych mają już skryształizowany profil działania?

— Teatry i kina tak. Ale biblioteki, domy kultury czy Przedsiębiorstwo Imprez Estradowych wymagają dalszego ustalania profilu. Estrada będzie się przedstawiać z działalnością dramatyczną na małe formy estradowe, przy czym zwróci się ku zaniedbywanej dotąd przez siebie wsi oraz samemu Poznaniu, któremu trzeba zapewnić też imprezy o właściwej randze kulturalnej. Biblioteki nie mogą ograniczać się do instruktażu i technicznej strony wypożyczeń, uchwała Prezydium WRN nakłada na nie poważne obowiązki w zakresie upowszechniania czytelnictwa i pracy oświatowej, a na terenowe rady narodowe obowiązki stwarzania im odpowiedniej bazy w postaci lokalii, księgozbiorów i kadr.

— Jakie, ogólnie biorąc, spełnić się muszą warunki by te zamierzenia się udały?

— Jeżeli wszystkie działające na terenie miasta instytucje i związki na zasadzie wzajemnego zrozumienia podejmą i dzielić będą trud i odpowiedzialność kulturalno-oświatową na terenie województwa — wówczas na pewno zdziałamy dużo. Początki są niezłe jak choćby dobre porozumienie zawarte już przez Wydział ze Związkiem Plastyków, jak dobre kontakty z poszczególnymi członkami Związku Literatów. Poprzymy akcję stypendiów dla literatów zapoczątkowanych przez HCP, a podjętą już przez Związek Zawodowy Pracowników Rolnych.

Podstawowym warunkiem sukcesów jest więc szeroko pojęta koordynacja całej działalności. Działalność komisji koordynacyjnych, szczególnie wojewódzkiej pozostała w wielu do życzenia. Pozostał nam do zrealizowania jeden z najcenniejszych postulatów Wielkopolskiego Festiwalu Kulturalnego, mianowicie powołanie Wielkopolskiego Towarzystwa Kulturalnego, które w dużej mierze rozwiąże problem koordynacji społecznego ruchu oświatowego i kulturalnego, a także środków na ten cel przeznaczonych. Taka koordynacja pozbawiona administracyjnego charakteru będzie w wielu wypadkach skuteczniejsza.

Rozmawiał:

Mieczysław Skąpski

do redaktora

W felietonie Feliksa Fornalczyka pt.: „Baedeker poetycki — Poznań” zamieszczonym w nr. 45 „Głosu Tygodnia” znalazły się błędne informacje dotyczące Poznańskiej Grupy Literackiej „Swantewit”.

1. Grupa „Swantewit” powstała prawie równocześnie z ugrupowaniem „Wierzbak” — nie zachodzi zatem możliwość jakiegos następowstwa po „Wierzbaku”. Jeżeli autorowi chodzi „o zajęcie opuszczonego miejsca” w sensie „czynnika prowadzącego” literacką młodzież, to:

po pierwsze — „Wierzbak” nigdy nie był grupą, która spełniałaby taką rolę w gronie młodych poznańskich poetów lub ich zgrupowań;

po drugie — metody stosowane przez tę grupę w stosunku do literackich kolegów były wręcz obraźliwe i nie należy ich w żadnym wypadku kontynuować.

2. Eugeniusz Kobylecki, przedstawiony w felietonie jako poeta — jest prozaikiem, znanym w środowisku z publikacji opowiadań i nowel. Natomiast nigdy nie opublikował żadnego wiersza. Być może poezja zainteresuje go w przyszłości.

3. Janusz Sauer w najbliższym czasie nie ma zamiaru porzucić poezji na rzecz prozy — chociaż ten ga-

tunek literacki nie jest mu zupełnie obcy. Od trzech lat Janusz Sauer publikuje wyłącznie wiersze.

4. Stwierdzenie braku samodzielnych pozycji książkowych wśród poetów grupy „Swantewit”, jest pomyłką. Autor felietonu zapomniał o zbiorze wierszy Czesława Kubalika pt. „Paradasa” (Wydawnictwo Poznańskie 1960 r.).

„Baedeker poetycki” poświęcony Poznaniowi a w szczególności młodym poetom — nie odzwierciedla w pełni sytuacji środowiska. Zawężenie felietonu prawie wyłącznie do nazwisk autorów legitymujących się samodzielną pozycją książkową, nie jest w przypadku Poznania zbyt szczęśliwe. Mieszka tu kilku poetów nie posiadających, co prawda, własnych tomików, lecz publikujących wiersze od szeregu lat.

Łączę wyrazy poważania

WITOLD ZEGALSKI

Od autora

„Baedekera”

List Witolda Zegalskiego prostuje — czy raczej uzupełnia — pewne moje stwierdzenia, podyktowane chęcią felietonowego wyostrenia zjawisk. I przyznam się, że raczej spodziewałem się głosu w sprawie zarzucanego przeze mnie „Swantewitowi” braku programu artystycznego, aniżeli owych paru sprostowań, raczej nieistotnej natury. Ale skoro już tak jest, mogę stać wnieść, że tamte zarzuty nie były błęd-



Janusz Biniek

Dom bez okien

T ak więc zaczęły się Dni Filmu Polskiego. Trzeba przyznać, że otrzymały w Poznaniu należytą oprawę: afisze, plansze, uroczyste otwarcie w kinie „Bałtyk”. Gorzej jest, niesłusznie, z bieżącym repertuarem Dni: w czołówkach 5 nowych filmów fabularnych zabrakło nazwisk najlepszych twórców, zabrakło również filmów o większym ciężarze gatunkowym. W sumie — przeciętna nowość, w porównaniu z latami ubiegłymi, wypada słabiej.

Dni zainaugurował „Dom bez okien”, dzieło debiutanta, Stanisława Jędryki. Film celuje wysoko: jak mówi o nim sam reżyser, obrał on środowisko cyrku „nie dla jego walorów widowiskowych i atrakcyjności, lecz głównie jako pretekst dla zaprezentowania dramatu postaw ludzkich. „Dom bez okien” nie jest filmem akcji, lecz filmem klimatu i atmosfery”.

Cóż — kiedy właśnie te sprawy są w filmie najtrudniejsze. Nic więc dziwnego, że ambitne zamiary reżysera przerosły jego możliwości. Jędryka, usiłując stworzyć klimat, nie ustrzegł się w wielu scenach przed naiwnością i pretensjonalnością, przez co film w niektórych partiach grawituje w stronę łzawego melodramatu. Oto jeden z przykładów: stary kłown, ponieważ cyrk się rozpada, depcze w pasji kwiatki, które dotychczas tak troskliwie pielęgnował, by później zdeptał ziele troskliwie posłować. Zabrakło tu po prostu umiaru i dobrego smaku.

Zresztą zawinił sporo także scenariusz Ścibora-Rylskiego, jeden ze

ślabszych, jakie napisał, a przecież pisał bardzo ciekawe. „Dom bez okien” literacko jest nieco wydumany, co stało się widoczne w przełożeniu na język filmowy, język obrazu. Wrażenie to pogłębia jeszcze zawieszenie akcji w czasowej próżni, jako że rzecz dzieje się nie bardzo wiadomo kiedy i gdzie. Również aktorsko, mimo znanych nazwisk, film nie stanowi rewelacji; wprost przeciwnie — aktorzy, prowadzeni nijako, nie stworzyli pełnokrwistych postaci. Jedyne Władysław Gotaś w roli Roberta przekonuje, iż jest aktorem o szerokich możliwościach.

Film się nie udał. Nie ma w tym żadnej tragedii, jako że rzadko się zdarza, by debiutant stworzył wielkie dzieło. Można go także zrozumieć, gdy ulega urokowi takich gwiazd pierwszej wielkości, jak Bergman, Fellini czy Marcel Marceau (pantomima w scenie polowania na małpę). Wierzymy, że w następnych filmach Jędryka powie nam coś własnego o konfliktach współczesnego człowieka; być może, nakreśli również zwykły film taki „do oglądania”. Niepokoi coś innego. To że nie rozpoczął właśnie od takiego filmu, któremu mógł zapewne talwiej podołać, usiłując skoczyć od razu na wyższe szczyty, i — co ważniejsze! — że kierownictwo jego zespołu filmowego nie widziało takiej konieczności. To, co jest możliwe w literaturze, niezmienne rzadko udaje się w filmie, gdzie mimo wszystko trzeba jednak rozpocząć od znużającego wyrabiania warsztatu. A chyba talwiej zdobyć reżyserskie ostrogi w mniej trudnym gatunku. Tej pomocy i rady starszych — zabrakło.



A już zupełnym nieporozumieniem było wystawienie „Domu bez okien” na czołowy międzynarodowy festiwal, po parcie obecnie — chyba tylko dla uporu! — wysunięciem tego filmu przez naczelne władze naszej kinematografii jako pozytywnej, mającej w całym kraju inaugurować Dni Filmu Polskiego, imprezę o pewnym znaczeniu dla polskiego filmu i widza. Po co to wszystko? Żeby raz jeszcze zwalić winę na niedobrych krytyków, ponoć śmiertelnych wrogów wszelakich debiutów?

Coś nie gra w domu przy ul. Puławskiej...

siebie poszczególnych grup młodzieży literackiej. Po rozwiązaniu się „Wierzbaka” powstała jednakże w Poznaniu swoistego rodzaju pustka, brakło czynników czy ośrodków jednoczenia się młodych literatów, stąd i mój krytyczny osąd, i pretensja pod adresem „Swantewita”. Tego tematu także Witold Zegalski nie podjął. Szkoda, bo to mogłoby — i powinno — stać się przedmiotem dyskusji. Jeśli nie ma warunków, aby czynność prowadzenia młodzieży literackiej spełniały grupy, zastanówmy się nad innymi sposobami dokonywania tego dzieła.

FELIKS FORNALCZYK

W Bytomiu wiedzą jak mieszkać

Przeczytałem w ostatnim „Głosie Tygodnia” (z 2. IX. br.) artykuł red. Zbigniewa Miki pt. „Jak mieszkać”. Zgadza się w pełni z zawartymi tam zarzutami i wnioskami, tym bardziej, że znam przykłady z innych miast, gdzie potrafią coś na tym odcinku uczynić. Np. Przedsiębiorstwo Handlu Meblami w Bytomiu zorganizowało w 4 jednopokojowych i 4 dwupokojowych mieszkaniach typowego bloku mieszkalnego wystawę połączoną ze sprzedażą. Wystawa ta „chwyciła”. Wala na nią już nie setki a tysiące Ślązaków. Artysta - plastyk przedsiębiorstwa jest przez zwiedzających „rozrywany”, udziela średnio dziennie 70 porad na temat nowoczesnego urządzania mieszkań.

STANISŁAW WALERZAK

Andrzej Łomoz

Sztuka wydawania pieniędzy

Znany amerykański ekonomista, W. Mitchell, powiedział kiedyś, że gdyby przeciętny konsument wkładał w rozsądne wydatkowanie swych pieniędzy, choćby drobną część tego wysiłku, jaką poświęca na ich zarobienie — miałby się o wiele lepiej, niż ma się w rzeczywistości. Udowodnienie tej tezy poświęcił nawet całą książkę.

Minęło 50 lat, a twierdzenie powyższe pozostało aktualne. I odnosi się znakomicie również do konsumenta polskiego. Przeciętny rodak pracuje ciężko, by zdobyć środki na utrzymanie — po czym środki te zużytkowuje równie beztrosko jak nierozsądnie.

Nie, nie chodzi mi bynajmniej o trwonienie znacznej części zarobków na wódkę lub Toto-Lotka; są to wypadki jaskrawe i dobrze wszystkim znane. Rozpatrzmy natomiast obyczaje rodaków powszechne, tradycyjne i przez społeczną opinię aprobowane.

Choćby jedzenie. Wiadomo, że jada się dużo, tłusto i przy każdej okazji. Objętościowo zbyt dużo — szczególnie, jeśli chodzi o ziemniaki, zupy, kaszę itp. potrawy mączne. Zdrowotnie — nieszczególnie, specjalnie pod względem tłuszczów zwierzęcych, konsumowanych przez wielu w nadmiarze, na niekorzyść tłuszczów roślinnych, potraw, zawierających witaminy itp.

I w ogóle drogo. Tym bardziej, że żadne towarzyskie zebranie nie może się obyć bez obfitego posiłku. Mimo szczególnej podatności na modne prądy z Zachodu, jeden odrzuciłszy zdecydowanie: regułę, według której na przyjęciach nie je się, lecz bawi, a potrzebom konsumpcji służy jedynie kawa, kieliszek alkoholu i np. słone orzeszki.

Z ołówkiem w ręku

Albo co innego. Słyszysz się stałe narzekania na nieuczciwość personelu sklepowego. Jednak większość klientów, otrzymawszy w sklepie samoobsługowym odcinek kasowy z wartościami poszczególnych towarów i sumą całego sprawunku — odcinki te, ostantacyjnie i z miną granda, natychmiast rzuci do kosza (jeśli nie na podłogę); że niby nie dla nich ta drobiazgowość...

W ten sposób, klient z własnej woli wyrzeka się skutecznego systemu kontroli uczciwości personelu, a tym samym zachęca go do niewydawania wspomnianych odcinków lub do nieużywania w ogóle taśmy kasowej.

A już, żeby ktoś się o taki odcinek upomniał... Mowy nie ma.

Za granicą odcinki kasowe są skrupulatnie przez nabywców zbierane. Między innymi i po to, aby pani domu mogła potem wciągnąć odpowiednie sumy do książeczki wydatków; żeby wiedzieć, ile i na co wydaje. Przeciętna Polka natomiast, jeśli już żyje z ołówkiem w ręku,

bywa to najczęściej... ołówek do brwi, względnie pomadka do ust.

Ludzie kupują

Oczywiście, daleki jestem od potępiania sztuki upiększania się. Przeciwnie, uważam rozwój gabinetów kosmetycznych i rozpowszechnianie zwyczaju korzystania z nich za konieczne. Jeśli jednak już jesteśmy przy tym temacie, chciałbym zapytać, czy bakszysze wsuwa-

Współczesnemu Polakowi do sztabucha

ne do kieszonki kosmetyczki, są do prawdy nieuniknione? Czy tolerowanie nagminnego nieprzestrzegania cennika przez fryzjerów (szczególnie męskich), jest obiektywną koniecznością?

Trzeba przyznać, że wielu producentów usilnie pomaga nam w nierozsądnym szafowaniu pieniędzmi. Weźmy pierwszy lepszy przykład: krem do golenia. Taniego i doskonałego kremu „Urody” w tubkach po 2,65 zł, trzeba szukać ze świecą. Można natomiast dostać identycznej wielkości tubki, identycznie pieniącego się kremu chlorofilowego za... 7 zł. Odrobina zdrowego rozsądku wystarczy, by uświadomić sobie, że choćby krem ten zawierał nie tylko chlorofil, lecz i eliksir młodości hrabiego Cagliostro — kilkadziesiąt sekund, jakie piana pozostaje na twarzy, zanim nie zostanie ścięta żyłką (wraz z wierzchnią warstwą naskórka), nie wystarczy na to, by

choćby zaczął przenikać do skóry. A jednak — producent robi; ludzie kupują...

Podobnie dziesiątki tysięcy sztuk odzieży z tkanin bawełnianych kurczy się po paru praniach i staje się niezdadną do użytku. Traci nabywcę, traci gospodarka narodowa.

Jeśli nie bardziej...

W Stanach Zjednoczonych, gdzie praktyka naciągania klienta przy pomocy reklamy na kupno produktów o średniej wartości i wysokiej cenie, została doprowadzona do perfekcji, istnieją prywatne instytucje ochrony interesów konsumentów. Biura te publikują wykazy firmowych towarów, polecanych — i niepolecanych, opierając się na badaniach własnych towaroznawców. Częstość w pierwszej rubryce znajdują się produkty tańsze, zaś analogiczne wyroby drogie i znakomicie reklamowane otrzymują ocenę „nie polecane”...

U nas, gdzie ochrona interesów konsumenta leży u podstaw polityki rynkowej państwa, przydałoby się chyba powołanie takiej społeczniej placówki. Dotychczas bowiem instytucja, która by zajmowała się kompleksowo i wyłącznie badaniem wartości użytkowej towarów — w Polsce nie ma.

Dopóki jednak nie doczekamy się tego, dobrze byłoby, aby sam konsument stanął na straży własnej kieszeni.

Nowoczesny Polak powinien nie tylko umieć prowadzić samochód. Umiejętność wydawania pieniędzy jest równie pożyteczna. Jeśli nie bardziej...

Janusz Przybysz

Cieężkie życie

Gdy miałem roczek, rodzice moi często prosili mnie sprzedawczynię:

— A nie ma tam pani jakichś butków papużków dla naszego bobasika Grzegorzka?

— A w którym numerku? — dopytywały się panie.

— A w drugim, albo w trzecim.

— O, to już nie. W drugim ani trzecim nie mamy. Mamy tylko w czwartym i piątym.

Gdy nieco dorosłem ojciec mawiał:

— A daj pani jakieś bu-

ty dla chłopaka. Trzynasty albo czternasty.

— Ani trzynastego ani czternastego nie ma — rozkładała ręce pani. — Tylko jedenasty i dwunasty, a ponadto drugi i trzeci.

Z czasem dojrzałem. Od tamtego samodzielnego chodzenia do pań sprzedawczyń, poszukując butów numer 43.

— Ależ takich butów nie ma! — śmiały się panie. — Są tylko numery 42 i 45.

I tak doczekałem się siedmiu lat.

Mając lat 70, kiedy już

skurczyłem się i zmalałem, pokuszyłem do obuwniczego i poprosiłem o buty na gumie, jakieś takie, nie drogie, i nawet nie eleganckie, byle w numerze 41. Ale takich już nie było. Mogłem nabyć każdy but, ale tylko w numerze 1 do 40 i 42 do 48.

Byłem naprawdę wielkim pechowcem. Zawsze, kiedy potrzebowałem butów, właśnie ich nie było.

Jeżeli mimo to nie chodziłem boso, zawdzięczam tylko upominkom. Bo ekspedientka to kobieta, a kobieta upominki lubi.

Eugeniusz Pauksza

Krakowski dorobek

Warcykiekawej serii „Pamiętników Polskich” w Wydawnictwie Literackim, o którego nowych książkach dzisiaj chcę mówić, na szczególną uwagę zasługują „Pamiętniki krakowskiej rodziny Louisów (1831—1869) w opracowaniu Jerzego Zathę i z przedmową Janiny Bieniarzówny. Zapiski Louisów, Francuzów z pochodzenia, osiadłych w Polsce w połowie XVIII w., są nader ciekawym przykładem procesu asymilowania się obcokrajowców w atrakcyjnym środowisku polskim. Pamiętniki, pisane przez trzy generacje, uderzają nade wszystko swym autentyzmem i bezpośredniością, oraz dużą rozmaitością szczegółów życia Krakowa i kraju w tak ważnym okresie życia polskiego XIX wieku.

Równie atrakcyjną w sensie poznawczym, natomiast znacznie bardziej pasjonującą w dramatycznych opisach tła i poszczególnych epizodów Powstania Styczniowego, jest druga pozycja pamiętnikarska, mianowicie „Moje wspomnienia” Jadwigi Prendowskiej, w opracowaniu do druku Eligiusza Kozłowskiego i Kazimierza Olszańskiego. Kurierka oddziałów Langiewicza, a później Rządu Narodowego, więzień X Pawilonu Cytadeli warszawskiej, skazana na zesłanie do Kunguru, Prendowska umie nie tylko działać z ręką odważną i rozsądkiem, ale potrafi też oceniać rozgrywane się na jej oczach wydarzenia w szerszej płaszczyźnie. Ten pamiętnik, pełen pasji, żaru, nie pozbawiony zarazem kobiecej kłiwości, czyta się jak najlepszą powieść.

Ludzi żarliwych, oddanych jakiejś sprawie bez reszty, nie brak zresztą szczęśliwie do dziś. Dowodem tego nowa publikacja Franciszka Kotuli, kustosa muzeum w Rzeszowie, zbiór gawęd kulturalno-obyczajowych „Z sandomierskiej puszczy”. Wydawnictwo Literackie nadało temu pokazowemu tomowi piękną szatę graficzną, co podnosi dodatkowo walory książki. Autor zajął się rodzimą kulturą i obyczajami Lasowiaków, zamieszkujących region trójkąta między Wisłą, Sanem a Wiskiem, ukazując niesłychane dziś jeszcze bogactwo obyczajowe i kulturowe tej grupy ludności, którą przez wieki kształtowało bezpośrednie współżycie z lasem.

Młośnikom powieści historycznej zaleci warto dwutomową, pierwszą część ambitnej trylogii Anieli Gruszeckiej o kronice Galla. Część ta, pt. „Owe lata”, wprowadza w klimat czasów Wła-

dysława Hermana i Bolesława Krzywoustego, ukazuje obraz ówczesnej Polski, jak długa i szeroka, tło wszelkich wydarzeń, które wypełniają Kronikę, niemal z dnia na dzień, w procesie jej powstania. Rozległa wiedza Gruszeckiej imponuje, tak jak wyuczucie ducha epoki, jak wreszcie umiejętność dramatyzacji.

Sporo nowości współczesnych. Marek Domański, autor głośnych „Klipsów z niebieskich migdałów”, opublikował powieść „Porządek rzeczy”, studium obyczajowe, z dramatyczną, pogłębiającą psychologię akcją, dziejącą się w głównej mierze w niejakim Kaniowie, w którym łatwo domyślić się Zakopanego. Bard-

dzo aktualne tematy dnia dzisiejszego podejmuje również Danuta Scibor-Rylska w powieści „Ktoś trzeci”, studium obyczajowo-psychologicznym ze środowiska inteligentnego. Zaskakuje subtelnością w rysunku nastrojów, umiejętnością doszukiwania się istotnego podłoża wielu naszych decyzji i poczynań.

Tadeusz Nowak, którego dotychczas znaliśmy jako poetę, ogłosił debiut prozatorski „Przebudzenia”, utwór urzekający świeżością, lirycznym wejściem na odszukiwany w sobie dawny świat dzieciństwa i wczesnej młodości. Tamte wczesne dni nad Dunajcem, z całym bogactwem zwyczajowym regionu, Nowak odnajduje w sobie owiane w poetycką aurę, w metaforyczną mgiełkę, w ukochanie człowieka i otaczającego go świata.

Ryszard Kłysz natomiast jak zastartował, tak nadal pozostaje prozaikiem. W nowej powieści „Cmentarni goście”, wracając do ciągle intrygującej go tematyki okupacyjnej i wojennej, ukazuje ją teraz nie poprzez malunek przeżyć psychologicznych polskich swych bohaterów, partyzantów, ale przez ukazanie drugiej, niemieckiej strony. Kupiec Wiliam Holt, w wojnę zostaje rzucony właściwie wbrew sobie, wbrew całej tradycji, upodobaniom, nawykom. Może dlatego dostrzegać zaczyna tę wojnę od prawdziwej jej strony, od zbrodni moralnej i fizycznej systemu hitlerowskiego. To go pcha do dokonania wyboru...

Ze wznowień literatury polskiej ukazała się „Historia naiwna” Piotra Chojnowskiego, zbiór świetnych nowel o bardzo różnorodnej tematyce. Wyszło też z druku nowe wydanie, nie wiedzieć naprawdę już które po wojnie, zawsze świeżych w odbiorze, kapitalnych „Słówek” Boy’a (Tadeusza Zelenieckiego).



O wielkim wspólniku dzieci

Znakomitemu pedagogowi, lekarzowi, publicyście i pisarzowi w jednej osobie Januszowi Korczakowi poświęcają duże artykuły NOWA KULTURA (Dyskusja z naszego prologu — pióra Igora Neverly'ego) i POLITYKA (Wspólnik dziecka — pióra Wiesławy Grocholi). Janusz Korczak (prawdziwe nazwisko Henryk Goldszmit) zginął 20 lat temu w Treblince, dokąd wywieziono go wraz z 200-osobową grupą dzieci z warszawskiego getta. Nie chciał opuścić swoich wychowanków, mimo że wielokrotnie proponowano mu bezpieczny azyl za murami.

Wiesława Grochola w pięknym wspomnieniu o Korczaku tak opisuje jego metody wychowawcze:

— Lubisz się bić, awanturujesz się przy byle okazji? — To bywa. — Spróbuj tylko — może może trochę za często? Bijesz, potem masz kłopoty, nie lubią cię, samemu nieprzyjemnie. A gdy byś próbował sobie powiedzieć, że w przyszłym tygodniu zamiast 5, 6 bójek tylko dwie? Wytrzymałbyś? No, zobaczymy. Możemy się złożyć. — I chłopak bije się dwa razy, oczywiście w tej sytuacji już zupełnie „bezkarnie”.

Ta „pobłażliwość” ma swe źródło w tym, że Korczak był prawdziwym wspólnikiem dziecka,

że uważał, iż w pierw trzeba uznać dziecko takim jakie ono jest, a potem dopiero je uczyć i wychowywać. Piękna zasada, lecz wymagająca zrozumienia psychiki dziecka.

Teoria syntezy ustrojów społecznych

To tytuł artykułu prof. Bronisława Minca (POLITYKA). Autor zajmuje się problemem o ogromnym znaczeniu teoretycznym i praktycznym: czy możliwe jest przetrwanie kapitalizmu w socjalizm, dosłownie jest instytucji kapitalistycznych do wymogów zmieniających się dziejów, jakie są główne teorie ekonomiczno-społeczne tego systemu. B. Minc tak kończy swoje przystępnie napisane rozważania:

„Wbrew zwolennikom teorii syntezy współczesne państwa kapitalistyczne nie nabierają charakteru socjalistycznego. Poziom życia narodów rozwiniętych państw kapitalistycznych pozostaje daleko w tyle za możliwościami materialnymi i technicznymi; polepszenie położenia materialnego masy pracującej osiąga się w walce z kapitalizmem. Kapitalizm jako całość okazuje się przy tym niezdolny do rozwiązania problemu wzrostu ekonomicznego i stopy życiowej w krajach zapóźnionych w rozwoju ekonomicznym”.

Autor dochodzi do takiego sformułowania polemizując z różnymi teoriami. Kto bardziej interesuje się zagadnieniem, niech przeczyta omawiany artykuł w Polityce.

Dni Filmu Polskiego

Bolesław Michałek pisze w NOWEJ KULTURZE o wzlotach i upadkach naszej kinematografii. Zaczyna od spóstrzeżenia, że to, co w zeszłym roku nazywało się szumnie Festiwałem Filmu Polskiego, dziś brzmi bardziej nieobowiązująco: Dni Filmu Polskiego.

„Na pozór w ciągu ostatnich dwóch lat — pisze B. Michałek — wszystko działo się normalnie: kilka filmów wybitnych (co prawda w ostatnim roku już ich nie było), sporo średnich lub słabych,

kilka kompromitujących (...). Głównym (...). nurtem był ostatnio, czy miał być, film współczesny, film o dzisiejszym życiu dzisiejszego człowieka (...). Jeśli rozumieć to szeroko, to stwierdzić wypadnie, że mieliśmy wybitny film współczesny: „Matkę Joannę od Aniołów”. Była to bowiem, paradoksalnie, jedyna w tym całym dorobku poważna wypowiedź skierowana do współczesnego człowieka. Film Kawalerowicza podejmował polemikę współczesną: wykazywał, że wielkie mity ciągle żywe, negują ziemskie prawa człowieka, zacieniając wokół niego sieć norm i zakazów — i przeciwko tym mitom protestował”.

Ale pojmując współczesność bardziej wąsko, to możemy odnotować tylko osiągnięcia statystyczne: 20 współczesnych filmów obyczajowych, psychologicznych, kryminalnych, komedii itp. Nie wesoło więc wyglądać ostatnie osiągnięcia polskiej kinematografii, czego dowodem fakt, że filmem inauguracyjnym Dni był w całej Polsce „Dom bez okien” — duże nieporozumienie artystyczne. O filmie tym piszemy zresztą w dzisiejszym Głosie Tygodnia.

Szkoła 1962/63

PRZEGŁĄD KULTURALNY publikuje rozmowę z Bagdaną Gołowską z ministrem oświaty Wacławem Tułodzieckim. Rozmowa ta obraca się wokół tematów pierwszego etapu reformy szkolnej, podręczników, kształcenia nowych kadr nauczycielskich, samokształcenia tych kadr, spadku zainteresowania młodzieży dla liceum ogólnokształcącego, drugoroczności, trudności lokalowych szkół itp. itd.

„Za najgroźniejsze dla szkolnictwa zjawisko — mówi Minister — uważa trzeba opóźnienie w realizacji planów inwestycyjnych. Bez budynków szkolnych odpowiednio wyposażonych, reforma szkolna byłaby poważnie zagrożona. Tę sprawę powinny zrozumieć przede wszystkim władze terenowe, wykonawcy planów inwestycyjnych (...). Można mieć pieniądze i nie wykonać planu inwestycyjnego — jeśli nie zapewnimy planowanym inwestycjom szkolnym wykonawstwa”.

W województwie poznańskim, na szczęście, sprawa terminowego realizowania inwestycji szkolnych nie wygląda najgorzej, chociaż są przypadki, do których słowa Ministra pasują jak ulał.

Nadodrze — o sąsiadach zza Odry

NADODRZE — pismo społeczno-kulturalne wychodzące w Zielonej Górze cały ostatni numer poświęciło Niemieckiej Republice Demokratycznej.

„Zespół Nadodrze” — czytamy w redakcyjnym wstępie — dzięki pomocy Komitetu Okręgowego SED zwiedził Frankfurt, Eisenhüttenstadt, pełne zabytków i skarbów sztuki Drezno; widzieliśmy nowoczesne zakłady przemysłowe i małe miasteczka, teatry i gospodarstwa wiejskie, muzea i sklepy z kosmetykami; chodziliśmy po ulicy w brukowanej granitach z pomnika Adolfa Hitlera. W ciągu kilku dni poznaliśmy tak jak tylko byliśmy w stanie naszego najbliższego sąsiada. Ponieważ nie traktowaliśmy tej podróży turystycznie, rezultatem jej jest numer specjalny pisma poświęcony sprawom niemieckim, pierwsza tego typu inicjatywa w 5-letniej historii Nadodrze”.

Numer zawiera ciekawe reportaże, artykuły i felietony. Nagromadzenie całego materiału w jednym wydaniu wpływa może ujemnie na bogactwo tematu, ale za to wszyscy, którzy interesują się sprawami ważnymi i bliskimi naszym sąsiadom zza Odry znajdą w Nadodrze dużo ciekawej lektury.

Bulgaria wczoraj i dziś

To tytuł artykułu pióra Petko Spirkowa w ŻYCIU GOSPODARCZYM. Artykuł poświęcony jest rozwojowi gospodarczemu Bulgarii, która z kraju rolniczego zmieniła się w kraj przemysłowo-rolniczy. Stosunek produkcji przemysłowej do rolniczej w 1960 roku wynosił 69 do 31. Natomiast w 1939 roku udział produkcji przemysłowej w globalnej produkcji kraju wynosił 19%, a w 1960 roku — 58%.

LEKTOR